



Maria Konopnicka - Mendel Gdański, część 2.

Nazajutrz rano uliczka obudziła się cicha jak zwykle i jak zwykle spokojna. Mendel Gdański od wczesnego ranka stał w skórzanym fartuchu przy swoim warsztacie. Wielkie jego nożyce zgrzytały po papierze zapalczynie, twardo, śruba prasy piszczała dociskana do ostatniego kręga, nóż wąski, długi błyskał pod ranne słońce zużytą swą klingą, skrawki papieru padały z szelestem na prawą i na lewą stronę. Stary introligator pracował gorączkowo, żarliwie; na jego zwiędłej, głęboko zbrudzonej twarzy znać było noc niespaną. Gdy przecież wychylił lichą kawę, którą mu sąsiadka w dużym fajansowym imbryku przyniosła, raźniej mu się jakoś na sercu zrobiło, nałożył krótką fajeczkę, zapalił i poszedł budzić wnuka. Chłopak zaspał dziś jakoś. Długo w noc na posłaniu rzucał się jak ryba, a teraz spał snem głębokim, cichym. Cienki promień słońca wpadający do alkowy przez otwór pąsowej firanki kładł mu się na oczach, na ustach, na wątych, odkrytych piersiach; to znów w ciemnych, miękkich włosach i w długich, spuszczonej rzęsach zapalał złotobrunatne, migotliwe płomyki. Stary patrzył się z lubością na dziecko. Czoło jego wyglądało się, usta rozszerzały, oczy mrużyły i nabierały blasku. Roześmiał się wreszcie szczęśliwym cichym śmiechem, a wciągnąwszy wielki kłąb dymu z fajeczki, pochylił się i puścił go pod sam nos chłopaka. Malec się zakrztusił, zerwał, szeroko otworzył złote swoje oczy i zaczął je trzeć złożonymi w dwie chude piąstki rękami. Spieszył się teraz niezmiernie, był zafrasowany; jedno z zadań zostało nie dokończonym, książki, kajety nie poukładane leżały dotychczas na stole: Już i kawy nie dopił, i bułki na pauzę, przełożonej dwoma plasterkami zimnego jajka na twardo, nie chciał wziąć, tylko w tornister książki rzucał, niepewny, czy się nie spóźni. Kiedy wszakże 'szynel na ramiona wzięwszy do drzwi zmierzał, drzwi otwarły się gwałtownie, a chudy student z facjatki pchnął go na powrót do izby:

- Uciekaj, bo Żydów biją!

Rozdrażniony był widocznie bardzo. Jego ospowata, długa twarz zdawała się jeszcze dłuższą i jeszcze bardziej spustoszoną; krok, jaki z sieni do izby zrobił, oddalił cienkie jego nogi na niezmierną odległość od siebie, małe bure oczy syptały iskry gniewu. Wylękły malec kłębką potoczył się aż ku stołowi, upuszczając szynel i tornister... Stary osłupiał. Ale wnet oprzytomniawszy, ogniami z twarzy buchnął, jak żbik do studenta skoczył...

- Co to uciekaj?... Gdzie un ma uciekać?... Na co un ma uciekać?... Czy un tu ukradł co komu, co by un uciekać miał?... Czy un tu w cudzej stancji siedzi?... W cudzy dom... Un tu w swojej stancji siedzi! w swój dam! Un tu nikomu nic nie ukradł! Un do szkoły idzie! Un nie będzie uciekał!... Przyskakiwał do stojącego we drzwiach studenta, skurczony, zebrany w sobie, syczący parskający i trzęsący brodą.

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

- Jak tam pan chcesz! - rzucił szorstko student. - Ja powiedziałem... I zabierał się do wycofania z izby swojej niezmiernie długiej nogi. Stary introligator uchwycił go za połę wytartego paltota.

- Jak ja chcę?... Nu, co to jest za gadanie, jak ja chcę! Ja chcę, co bym ja spokój miał. Ja chce spokojnie zjeść mój kawałek chleba, co ja na niego pracuję! Nu, ja chcę wychować te sieroty ten chłopiec, co by z to dziecko człowiek był, co by nikt na niego nie pluł, kiedy on nic winny nie jest!... Nu, ja chcę, co by nie było ani mojej, ani niczyjej krzywdy, co by sprawiedliwość, co by się ludzie Boga bali!... Nu, ja tego chcę! A uciekać to ja nie chcę! Ja w to miasto się urodziłem, w ten dom dzieci miałem, ja tu nikogo nie skrzywdziłem, ja tu warsztat mam...

Mendel przechodzi coś w rodzaju załamania psychicznego. Słucha nadciągającego tłumu.

Mendla i jego wnuczka ratują znajome kobiety, które wpadają do ich mieszkania i każą się ukryć. Przynoszą z sobą obraz Matki Boskiej. Ponoć gdzieś jest taki obraz, antysemita odchodzą. Mendel jest wdzięczny kobietom za troskę, ale nie chce wstydzić się swojego wyznania. Bierze wnuka za rękę i staje z nim w oknie. Twierdzi, że jeśli oprawcy są chrześcijanami, to przed napaścią powstrzyma ich siwa broda i niewinność wnuka.

Tę heroiczną odwagę starca wzięto za zniewagę, za urąganie. Tu już nie szukano, czy jest do wytoczenia jaka beczka pełna octu, okowity, jaka paka towarów do rozbicia, jaka pierzyna do rozdarcia, jaki kosz do stłuczenia. Tu wybuchła ta dzika żądza pastwienia się; ten instynkt okrucieństwa, który przyczajony w jednostce, jak pożar opanowuje zbiegowisko, ciżbę...

Jeszcze nie dobiegli pod okno, kiedy kamień rzucony z pośrodku tłumu trafił w głowę chłopca Malec krzyknął, kobiety rzuciły się ku niemu. Żyd puścił ramię dziecka, nie obejrzał się nawet, ale podniósł obie ręce wysoko ponad wyjący motłoch wzrok utkwiał i szeptał zbielejącymi ustami:

- Adonai! Adonai!... - a wielkie łzy toczyły się po jego zbrudzonej twarzy.

W tej chwili był to prawdziwy Gaon, co znaczy: wysoki, wzniosły.

Kiedy pierwsi z tłumu pod okno dopadli; znaleźli tam wszakże niespodziewaną przeszkodę w postaci chudego studenta z facjatki.

Z wzburzoną czupryną, w rozpiętym mundurze stał on pod oknem Żyda, rozkrzyżował ręce zacisnąwszy pięście i rozstawiwszy nogi jak otwarty cyrkiel.

Był tak wysoki, że zasłaniał sobą okno niemal w połowie. Gniew, wstyd, wzdarga, litość wstrząsały jego odkrytą piersią i płomieniami szły po jego czarnej, ospowatej twarzy...

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

- Wara mi od tego Żyda! - warknął jak brytan na pierwszych którzy nadbiegali. - A nie, to wal we mnie jeden z drugim, gałgany! psubraty! hultaje!

Trząsł się aż cały i nawet pełnego głosu dobyć nie mógł, tak go gniew dławił. Z małych jego burych oczu iskry sypać się zdawały. Był w tej chwili pięknym jak Apollo...

Kilku trzeźwiejszych z bandy zaczęło się cofać. Postać młodzieńca i jego słowa uderzyły ich swą siłą. Skorzystał z tego długi student, a skoczywszy przez niskie okno do izby, odepchnął Żyda, a sam w oknie stanął. Tłum przeciągnął mimo tego okna z głąbą wrzawą. Szyderstwa, pogrożki, wrzaski, złorzeczenia towarzyszyły pochodowi temu; po czym wrzawa oddalała się, cichła, aż przeszła w huk niewyraźny, daleki.

Tego wieczora nikt się, przy sosnowym stole nie uczył i nikt przy warsztacie nie pracował. Zza pąsowej firanki z alkowy dobywał się niekiedy, cichy jęk dziecka; zresztą spokój panował tu zupełny. Gdyby nie rozbita szyba w okienku, gdyby nie porzucony na podłodze szynel i tornister uczniowski, nie znać byłoby tej burzy, która tu przeszła rankiem.

W alkowie za pąsową firanką leżał mały gimnazista z obwiązaną głową. Zielona lampka paliła się przy nim, chudy student siedział na brzegu łóżka trzymając rękę malca. Twarz studenta była już tą samą co zwykle, dziobatą, brzydką twarzą; w oczach tylko paliły się niedogaste ognie z dna duszy ruszone. Siedział milczący; namarszczony, gniewny i od czasu do czasu rzucał niecierpliwie spojrzenie w ciemny kąt alkowy. W kącie tym siedział stary Mendel Gdański, bez ruchu, bez głosu. Skulony, z łokciami wspartymi o kolana, z twarzą ukrytą w rękach siedział on tak już od południa, od chwili, w której, dowiedział się, że chłopcu niebezpieczeństwo nie grozi.

Ta nieruchomość i to milczenie starego introliigatora niecierpliwiły studenta.

- Panie Mendel! - burknął wreszcie - wyleżę pan już raz z tego kąta! Bosiny pan odprawiasz czy co u licha? Trochę gorączki i nic więcej. Chłopak za tydzień jaki do szkoły pójdzie, byle się trochę tylko skóra zrosła. A pan tak na marze zasiadł, jakby co panu umarło.

Stary Żyd milczał.

Po chwili dopiero podniósł głowę i odezwał się głosem namiętnie drgającym:

- Pan się pyta, czy ja na bosiny siedzę? Nu, ja siedzę na bosiny! Ja popiół na głowę mam i wór gruby na głowie mam, i na popiele ja siedzę, i nogi bose mam, i pokutę wielką mam; i wielką boleść mam, i wielką gorzkość...

Zamilkł i twarz znowu w ręce ukrył: Mała zielona lampka dała jego siwej głowie, jakieś szczególne, widmowe niemal oświetlenie. Malec jęknął raz i drugi i znów zaległo milczenie.

A wtedy wśród tej ciszy podniósł Mendel Gdański raz jeszcze głowę i rzekł:

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

- Pan powiada, co u mnie nic nie umarło? Nu, u mnie umarło to, z czym ja się urodził, z czym ja sześćdziesiąt lat żył, z czym ja umierać myślał... Nu, u mnie umarło serce do tego miasto!

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl